

1.

Co jakiś czas, szczególnie z okazji kolejnych mistrzostw piłkarskich, ludzkość, a w każdym razie jej bardziej rozgarnięta część, próbuje odpowiedzieć sobie na fundamentalne pytanie: co takiego jest w piłce, że taka mała i skórzana, a roznamiętnia miliony? Dlaczego z powodu transmisji telewizyjnych tu i ówdzie wykołuje się gospodarka, a giełda wariuje? Dlaczego w rodzinach, żyjących dotąd w harmonii zaczynają pojawiać się nagle wyraźne znamiona rozpadu? Skąd tyle płaczu i dojmującego cierpienia, skąd tyle zagadkowych zejść śmiertelnych wreszcie? Dlaczego to piłka właśnie, a nie żaden inny sport, generuje tak niespodziewane sekwencje zdarzeń? Teorii jest wiele i każda dobra. Bo powiedzieć trzeba sobie bez ogródek: popychać piłeczkę – to jedno, a mieć do niej teorię – to coś całkiem innego.

Spróbujmy zatem, zimnym analitycznym okiem, spojrzeć na kilka z tych osiągnięć ducha ludzkiego, które usiłują frontalnie zmierzyć się z problemem. By wszakże zająć się fenomenem piłki metodycznie, warto na początek powrócić do jej historycznych źródeł.

Zanim zapoznamy się z kilkoma odważnymi strategiami interpretacyjnymi, nie od rzeczy będzie postawić sobie pytanie najprostsze z możliwych: o co w piłce nożnej tak naprawdę chodzi? W książce *Gry i zabawy*

DARIUSZ CZAJA

Gra metafor

Pisarze o futbolu

towarzyskie..., wydanej dokładnie na początku XX stulecia (1900) przez Mieczysława Rościszewskiego, kwestia została zarysowana z przejmującą także dzisiaj, chirurgiczną precyzją: „Gra w wielką piłkę, tzw. futbol (football) jest przeznaczoną dla ludzi z wyrobionymi mięśniami i szybkimi nogami; słaby może tu być jedynie widzem. Gra jest nadzwyczaj prosta i nieskomplikowana. Za materiał do niej służy wielka piłka gumowa, objętości głowy ludzkiej, a nawet i większa, jak arbuz lub mała dynia. (...) Gra odbywa się na obszernej łące lub placu, możliwie równym. Każda partya obiera sobie miasto, oddzielając je linią graniczną. Pośrodku tej linii robi się szeroka brama, wytknięta



Mecz Polska–Belgia, lata 30.
Narodowe Archiwum Cyfrowe.

i oznaczona jakimikolwiek znakami. W bramie stawa się dwóch lub trzech stróży, na wypadek niespodzianego napadu; siły główne wychodzą naprzód. (...) Całe zadanie, cały cel gry polega na tym, ażeby przerzucić piłkę do obcego miasta, przy czym trzeba bezwzględnie uderzyć w bramę, przez jej szerokość. (...) Partya ciągnie się długo, powodzenie waha się co chwila, i wesoła, ale uporczywa bitwa, koniec końców niesłuchanie nuży zapaśników tak, że o drugiej partii niepodobna jest myśleć. Przy zbytnej, nadmiernej gorliwości, można w tej grze oberwać, ale w ogniu walki przemija to niepostrzeżenie, albowiem z każdą chwilą zatarg się zwiększa, zapala, podnieca, tu, tam i ówdzie, z coraz to wzrastającą mocą, zwłaszcza zaś, gdy obie partie prowadzą silni, zręczni i odważni a przebiegli wodzowie”.

Znakomicie brzmi i dzisiaj gęsta proza Rościszewskiego. W tych zwyczajnych, na ludzką miarę skrojonych słowach, tu, tam i ówdzie powiedziano o piłce wiele. Kto chce, znajdzie tu nie tylko zwięzły zarys reguł gry, ale także wyjątkowo czytelną prefigurację retoryki wojennej (stróże, bitwa, siły główne, napad, wodzowie), do której tak chętnie odwołują się dzisiejsi sprawozdawcy sportowi i nie tylko. Przede wszystkim zaś jasno wyłożony został tu elementarny sens tej, jak powiada autor, nieskomplikowanej gry. Niech nas nie zmylą łatwo uchwytnie różnice między opisem jej zasad sprzed lat stu (dwóch lub trzech stróży w bramie „na wypadek niespodzianego napadu”), a jej dzisiejszą, dobrze nam znaną formułą. Pomijając akcydensy, w grze w piłkę nożną chodzi po prostu o to, jak wyklada Rościszewski, aby piłką „uderzyć bezwzględnie w bramę” i uzyskać przewagę w liczbie strzelonych goli. Albo też, jak mawiał wielki Kazimierz Górski, który bez wątplenia należy do tego samego skrzydła hermeneutycznego co autor *Gier i zabaw towarzyskich*, w futbolu chodzi generalnie o to, aby strzelić jedną bramkę więcej niż przeciwnik. Taka jest, w najogólniejszych zarysach, wykładnia szkoły antiocheńskiej, która w rozumieniu futbolowego „tekstu” kładzie nacisk na sensy jawne, podkreśla jego powierzchnię, a w swoim rozumieniu porusza się po trajektoriiach dosłowności. Idąc za ich intuicjami, tak właśnie przedstawia się niezwykle wyrafinowana ejdetyka futbolu. Cała reszta, twierdzą antiocheńczycy, jest zawracaniem głowy, redundantnym głędzeniem, heideggerowską gadaniną (*das Gerede*).

Reszta byłaby milczeniem, gdyby nie całe zastępy teoretyków, którzy próbują jednak piłkę myślowo okiełznać i wcisnąć ją w jakiś wprzód ustalony wyjaśniający schemat. Rozum ludzki tak jest bowiem skonstruowany, że nie zadowolony jest wyjaśnieniem prostym i nie spocznie dotąd, dokąd nie opracuje jakiejś głębinowej interpretacji zjawiska. Ale często błądzi. Weźmy choćby te pierwsze z brzegu myślowe gnioty: piłka jako opium dla ludu, piłka jako rozrywka gawie-

dzi, piłka jako pusty rytuał, piłka jako namiastka polityki, piłka jako źródło agresji, piłka jako sport ubogich, piłka jako narzędzie awansu społecznego itd., itd...

Przyjrzyjmy się kontrolnie tej ostatniej wykładni. Powiada się oto, że w Ameryce Łacińskiej, gdzie, jak głosi wiekopomny truizm, „piłka jest religią dla mas” i gdzie w rzeczy samej mieszkają najlepsi z najlepszych, futbol jest okazją dla biedoty do wybicia się na niepodległość, do znalezienia swojego miejsca w życiu i zarobienia przy pomocy nóg paru złotych. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie świadomość, że piłka nożna, z niejasnych klasowo przyczyn, jest wielce popularna również, dajmy na to, w Niemczech, gdzie, jak powszechnie wiadomo, głodni, wychudzeni i niedomocy młodzi Niemcy z wielodzietnych rodzin, zamieszkujący gęsto rozrzucone po kraju favele, także próbują sił w piłkarskiej sztuce. Formułując tego rodzaju ogólne eksplikacje, warto najpierw chwilę pomyśleć, bo o nieszczyćście, jak widać, nietrudno...

Porzućmy tedy to pseudouczone bajdurzenie, zobaczmy może, jak radzą sobie w tej trudnej materii pisarze. Pisarze, dodajmy, futbolem pijani, pisarze, dla których świat bez piłki jest równie niewyobrażalny jak Higuain bez dryblingu, czy Pepe bez faulu. Pisarze, którzy nie tylko piłką się pasjonują, ale twórczym rozumem próbują się nad nią czule pochylić. Profesjonalni pisarze reprezentują w swoim podejściu – co stwierdzić łatwo – hermeneutyczny nurt uprawiany przez szkołę aleksandryjską. Nigdy nie zadowala ich powierzchnia zdarzeń, to, co widoczne gołym okiem, przeciwnie: starają się oni – na wzór wielkich aleksandryczków – zajrzeć pod podszewkę piłkarskiego „tekstu” i w swoich egzegezach śledzą nade wszystko sensy kryptyczne. Ich interpretacje nie znają granic, zawsze wychodzą one od empirycznego konkrety, by finalnie przyjąć kształt przepastnej myślowo alegorezy.

Oto kilka, niezwykle instruktywnych, co ważne: różnorodnych interpretacyjnie, propozycji piłkarskiej hermeneutyki.

2.

„Co myślę sobie siadając przed telewizorem w oczekiwaniu na hejnał mistrzostw? Myślę, że jestem osioł”. Tak pisał Andrzej Kijowski w pamiętnym roku 1974 (MŚ w RFN), w szkicu krytycznym, w którym postanowił zlustrować mężnie swoją słabość do piłki nożnej, tego prząsnego, plebejskiego zjawiska. Jak to możliwe, by poważny człowiek, intelektualista, pisarz, tłumacz, wyrwał z życia cenne godziny rezerwując je na uczestniczenie (*via* telewizor) w tak nędznej, pozbawionej rozumu, niskiej rozrywce? W istocie bowiem, z jakimś narkotycznym powabem, mecz odrywa Kijowskiego od jakże ważnych zawodowych aktywności. Chciałby Kijowski do Flauberta, chciałby do Baudelaire’a, ale kolejny mistrzowski mecz zaciąga już nad

nim srebrzystą poświatę, już bierze go w swoje posiadanie. Hipnoza potrwa całe 90 minut. Flaubert poczeka, inni mistrzowie pióra też. Naturalnie, Kijowski-osioł, w tym ironicznym autoportrecie, nie pisał wyłącznie o sobie, pisał o nas, tych wszystkich osłach zajmujących się zawodowo czytaniem i pisanem, którzy raz na cztery lata odstepują od czynności, z których żyją, i wpijają się nieprzytomnym wzrokiem w ekran telewizora.

Kijowski nie daje się jednak uwieść emocjom, próbuje *sine ira*, krok po kroku, mecz piłkarski opisać i sens jego ostatecznie objaśnić. Odrzuca z punktu trywialne koncepty, wedle których piłka nożna służy wyłącznie do robienia pieniędzy bądź też do kanalizowania negatywnych emocji społecznych. Wedle niego, w piłce chodzi o coś dalece odmiennego: „Mecz nie jest (...) po prostu «świętem», czyli okazją do zebrania się tłumów i wyżycia się w krzykliwych, spontanicznych manifestacjach, olbrzymia większość ludzi pasjonujących się tą grą ogląda ją samotnie w telewizji. Nawet oglądanie nie jest również koniecznym warunkiem ich przeżywania, wystarczy bodaj nazajutrz poznać wynik, aby doznać emocji. Nie jest to więc widowisko tylko – to coś więcej. Co jest zatem tą ich cechą, która porusza wszystkich jednakowo – zarówno tych, którzy kibicują określonym drużynom, jak i tych, którzy patrzą, słuchają, czekają na wyniki z zupełnie bezinteresowną ciekawością, tych, co się na piłce znają, jak i tych, co – jak większość kobiet – z trudem rozumieją, o co w grze chodzi? Co jest istotą tej namiętności, co jej prawdziwym przedmiotem? Myślę, że niespodzianka, tylko niespodzianka. Nigdy nie wiadomo całkiem na pewno, kto wygra, rozstrzygnięcie może nastąpić w pierwszej lub w ostatniej minucie meczu. Dawid zawsze może pokonać Goliata”.

Koncept jest ciekawy, eksplanacyjnie uwodzący, stoją za nim liczne empiryczne obserwacje. Ale już chwila zastanowienia pozwala spostrzec, że coś tu się jednak nie zgadza. Niespodzianka niespodzianką, ale widać przecie wyraźnie, że opis powyższy pasuje zarówno do piłki, jak i do hokeja na lodzie, co gorsza, pasuje nawet do szachów. Dlaczego to właśnie niespodzianka miałaby stanowić *differentia specifica* widowiska piłkarskiego? Czy w hokeju na trawie albo, za przeproszeniem, w piłce wodnej Dawid nigdy nie pokonał Goliata? Czy rzeczywiście niespodzianka, egzystencjalna przewrotka, przeżycie losu w czystej postaci – jak zwał, tak zwał – to domena jedynie futbolu? I po to oglądamy wszystkie te mecze? Oczywiście przykładów na poparcie tezy aż nadto. (Któryś z angielskich trenerów, spytany, dlaczego ogląda mecze piłkarskie odparł, że chce wiedzieć, kto wygra na końcu). Bez wątplenia, coś jest na rzeczy. Niespodzianka, nagłe odmianny sytuacji, których najlepszy reżyser nie zdołałby zaplanować (niemożliwa, hitchcockowska z ducha końcówka meczu pucharowego Bayern –

Manchester United), mali gromią wielkich, nieokrzesani prowincjusze wygrywają z herosami z metropolii. To prawda, tak bywa. Oczywiście, cieszy niepomieranie, kiedy – przykład z japońsko-koreańskich MŚ w 2002 roku – Francja B (umowna nazwa: Senegal) wygrywa z Francją A; w meczu tym, jak może w żadnym innym, dojmująco obecny był słodki smak odwetu za niegdysiejszą kolonialną przeszłość. Ale czy naprawdę tylko dlatego pasjonowaliśmy się owym widowiskiem, by dzielić szczęście z Czarnym Ludem ciemionym ongiś przez Białych Oprawców? Powiadam: radość jest ogromna, kiedy widzi się czarnego, skazanego na porażkę Dawida, który łoi skórę białemu i utytułowanemu Goliatowi. Ale czy w tej emocji, dość zresztą dwuznacznej, zawiera się esencja futbolu? Myślę, że wątpię.

Ciekawe, że w samym tekście Kijowskiego rysuje się pewna, wzbogacająca interpretacyjnie, szansa. Chwilę wcześniej autor, krakauer z urodzenia, przypomina świetną anegdotę z lat wojennych, ale niestety, jej głębszy sens najwyraźniej mu umyka: „W czasie wojny, w Krakowie odbywały się wielkie turnieje piłkarskie, na podmiejskich boiskach gromadziły się tłumy kibiców i pasjonowały się rozgrywkami, jak gdyby nic ważniejszego nie działo się na świecie. Jeden z takich meczów odbywał się w kilka dni po inwazji w Normandii, kiedy w okolicach Cherbourga toczyły się zacięte walki, a cała operacja wisiała na włosku. Kiedy wróciłem z meczu rozgorączkowany grą mojej ukochanej Wisły, ojciec zapytał mnie zaraz, co się dzieje w Normandii. – A skąd mam wiedzieć? – Byłeś przecież wśród ludzi, coś musieli mówić... – Na meczu, o Normandii? – Tego mój ojciec absolutnie nie mógł zrozumieć”.

Otóż to. Ofensywa aliantów trwa, na plażach normandzkich trup ściele się gęsto, losy wojny mogą się lada chwila odwrócić, ale nikt przecież w trakcie meczu o takich drobiazgach rozprawiał nie będzie! To, czy Wisła wygra, czy polegnie, jest – teraz, w momencie gry – sprawą najważniejszą na świecie. Jest kibica „być albo nie być”. Bo rzeczywistość piłkarskiego meczu ma coś z czarnej dziury: wsysa oglądającego do reszty, czyniąc go kompletnie niewrażliwym na to, co się dzieje poza boiskiem. I ta elementarna, nieledwie archetypiczna sytuacja ma wymiar ponadczasowy. Kilka lat temu kapitan greckiego promu pasażerskiego doprowadził do katastrofy swój statek („jaka piękna katastrofa”, to z *Greka Zorby*, rzecz jasna) tylko dlatego, że jego ukochany Panathinaikos właśnie w czasie wycieczkowego rejsu grał mecz pucharowy i załoga, zamiast kierować maszyną, wpatrzona była z przejęciem w telewizor... Dla przeżycia niespodzianki ten mecz oglądali? Wolne żarty.

Piłka, to jasne, także niespodzianką stoi. Ale dla podziwiających ją, dla zakochanych w niej, piłka jest czymś znacznie więcej: jest, jak by to powiedzieć, po



Mecz Wisła Kraków – Chelsea Londyn, rozegrany z okazji trzydziestolecia Towarzystwa Sportowego Wisła Kraków. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

prostu... wszystkim. Powtarzam: w s z y s t k i m. Domem, rodziną, ojczyzną, szkołą, świątynią, pragnieniem, tęsknotą, miłością, zazdrością, agresją, ekstazą, pamięcią, świętą opowieścią... Dlatego też kompletnie chybiona jest i inna konstatacja Kijowskiego, zgodnie z którą piłka nożna wywołuje „wielorakie emocje: quasi-sportowe, quasi-estetyczne, quasi-religijne, quasi-patriotyczne. Jest gigantyczną namiastką, kwintesencją masowej kultury, która cała składa się z namiastek”. Tak może napisać ktoś, kto widowisko piłkarskie zna tylko z zewnątrz. Mecz jako quasi-rzeczywistość? Żywe, niezaprogramowane, spontaniczne emocje widzów jako namiastka? Prawdziwa euforia zwycięzców i równie prawdziwe łzy pokonanych jako namiastka? Ekstremalne napięcia: paroksyzm radości bądź tragicznego odrętwienia jako namiastka? Namiastka czego? Autentycznych emocji? Ale w takim razie gdzie, w jakich obszarach życia są te najprawdziwsze, najbardziej wartościowe i autentyczne emocje? I kto decyduje o ich autentyczności? Piłka, owszem, bywa namiastką, *ersatzem*, pastiszem, farsą, operetką, operą mydlaną, ba, bywa nawet parodią samej siebie (coraz częściej), ale nie w tym – ileż razy trzeba to powtarzać – jej wielkość. Żenującą natomiast namiastką, tyle że intelektualną, jest myślenie o piłkarskim widowisku w kategoriach namiastki.

To tyle o namiastce.

3.

Kim byśmy byli bez Jerzego Pilcha? Odpowiedź na tak brawurowo postawione pytanie jest banalnie prosta. Bylibyśmy mianowicie biedniejsi. O co? Otóż, bylibyśmy biedniejsi przede wszystkim o żółtą węgierską futbolówkę, którą prozaik Pilch tak ekscentrycznie wprowadził do swej prozy artystycznej. A wartości tego konceptu wprost nie da się przecenić. Żółta węgierska futbolówka nie tylko powraca nas, pięćdziesięcioletnich starców, w szczęsne czasy dzieciństwa, nie tylko staje się dla nas, tych wszystkich niedopilkarzy – *excusez le mot* – magdalenką naszej traumatycznej pamięci. W przypadku pilchowych okołopiłkarskich wynurzeń i rozważań idzie, może przede wszystkim, o rzadki walor edukacyjny piłkarskiego wspomnienia: przecież dla dzisiejszej dziatwy szkolnej enuncjacje pisarza muszą być czymś na miarę archeologicznego odkrycia.

Lata 60. ubiegłego stulecia, kolejne stracone pokolenie wkracza na arenę dziejów. Ale w nudnej i szarej rzeczywistość PRL-u zdarzają się czasem dni świąteczne, życie rozbłyska nagle sensem, a przyszłość przybiera barwy słonecznej kuli: „Pewnego dnia ojciec kupił mi piłkę nożną. Prawdziwą, słynną węgierską futbolówkę za 314 złotych, nie związaną, tylko na wentyl, napelnianą powietrzem pompką z igłą”. Piłkę-marzenie, piłkę-skarb, piłkę-fetysz. Piłkę, która w rękach małego Jerzyka szybko zresztą zmieniła się w narzędzie

władzy: „Stałem się właścicielem jedynej prawdziwej piłki w okolicy. Choć nie miałem zielonego pojęcia o grze w piłkę, nie miałem żadnej sprawności sportowej, to prawem właściciela brałem udział w każdym meczu. Jak mi się coś nie podobało, brałem piłkę pod pachę i wracałem do domu”.

Ten fragment o żółtej węgierskiej futbolówce cytuję z wywiadu pod zaskakującym tytułem *Żółta węgierska futbolówka*, którego Pilch udzielił dziennikarzowi gazety codziennej. Mowa tam nie tylko o łzawych wspomnieniach, o tym jak mały Juruś, krótkowzroczna wiślańska niedojda, wyrósł z czasem na rasowego napastnika siejącego postrach wśród okolicznych bramkarzy; Pilch mocuje się też intelektualnie z fenomenem pod nazwą „piłka nożna”, starając się analitycznie sprostować temu, jak się okazuje, po wielokroć złożonemu zjawisku. Od razu znać, że mówi fachowiec, że uwagi, które tu padają, są nie tylko głęboko przemyślane, ale i – by tak rzec – intensywnie, mecz po meczu, przekopane. Bywało, że grałem z Pilchem w jednej partyi i parę razy widziałem, jak przemieszczał się on ze swojego miasta do miasta drużyny przeciwnej, chociaż, by po jego bezwarunkowym strzale piłka przekroczyła bramę („przez jej szerokość”), tego, po prawdzie, nie widziałem ani razu. Porzućmy jednak tanie złośliwości, bo przecież nie o ilość strzelonych bramek tu chodzi, ale – jak powiadają znający się na piłce – o elementarne czucie gry. A tę zdolność Pilch posiadał z całą pewnością. Entuzjazm kibica (przypomnieć się godzi jego maniakalną, twardą jak Stal Stalowa Wola, miłość do Cracovii – dyżurnego Dawida polskiej piłki), uzupełniony solidną pracą analityczną, pozwolił mu na sformułowanie kilku zaskakujących i dających do myślenia sugestii mających na celu zgłębienie tajemnej i tak silnie opierającej się czystemu rozumowi ejdetyki futbolowego widowiska.

Pilch zwraca uwagę na ważny aspekt futbolu, o którym Kijowskiemu i wielu innym teoretykom piłkarstwa zwyczajnie się nie śniło. Estetyczny i artystyczny walor piłkarskiego meczu. „Estetyka piłki to sprawa kluczowa. Historia notuje wielkie mecze zakończone remisem 0:0. Holoubek porównuje piłkę nożną do bitwy, dzięki czemu staje się ona źródłem estetyki, by tak rzec, malarskiej. To jedyna dyscyplina rozgrywająca się na trawie, nawet w hokeja na trawie gra się na sztucznej nawierzchni. Ktoś powie, że bitwę bardziej przypomina mecz hokejowy, bo zawodnicy mają pancerz, oręż (kije) i krążek, który może pełnić funkcje pocisku. Tyle że wielkie bitwy ludzkości nie rozgrywały się na lodowisku, ale na trawie. Bitwa pod Grunwaldem odbyła się – jak powszechnie wiadomo – na zielonej murawie. Bitewna archetypiczność piłki nożnej to rzecz niesłychanie ważna, ale jest inna cecha decydująca o jej estetyce – od piłkarzy wymaga się pewnego subtelności kunsztu. Nie chcę deprecjonować piłki ręcznej, ale tam gra się rękami, a rękami posługuje się

cała ludzkość. Nawet ktoś niespecjalnie uzdolniony manualnie musi się nauczyć nimi jeść. Nogami nikt niczego nie robi, potrzebne są tylko, żeby szybciej albo wolniej gdzieś dojść. Do tak wyrafinowanych czynności jak kopanie piłki kończyny dolne służą nielicznym. Słynna wypowiedź Kazimierza Deyny na pytanie o jego słynne rogale brzmiała: «Chodzi o to, by odpowiednią częścią buta uderzyć w odpowiednią część piłki». Proste, ale dla normalnego śmiertelnika niemożliwe”.

Mało kto w dzisiejszych czasach tak finezyjnie umie połączyć Grunwald z ewolucyjnym uwstecznieniem sprawności kończyn dolnych, ale nie to w tej wypowiedzi jest najistotniejsze. Mniejsza też o jawne nieprawdy (na trawie gra się w rugby, tenisowy Wimbledon nie odbywa się raczej na kostce brukowej...). Pilch wydobywa wszakże na jaw rzecz, która dla fachowca jest po prostu trzeźwą oczywistością, ale która dla laika pozostanie niepojętą na zawsze. Otóż, okazuje się, że ilość bramek nastrzelanych drużynie przeciwnej nie świadczy wcale o znakomitości widowiska. Że nie tylko w bramkach jego narkotyczna moc. Dwucyfrowe wyniki (sławne historycznie ekscesy kelnerów z San Marino, rybaków z Wysp Owczych etc.) to nie świadectwo geniuszu piłkarskiego, ale raczej niemocy i futbolowej amatorszczyzny. Dobrze wiemy, że remis 0:0 (by o rdzennie polskim wynalazku: „zwycięskim remisie” 1:1 na Wembley, taktownie zamilczeć), to także może być wielki wynik, że Dawid, który nie wygrywa, ale ledwie remisuje bezbramkowo z Goliatem, to też niemało, a finalnie, to może być nawet bardzo dużo.

I tu pojawia się subtelnie wychwycony istotowy związek piłki ze sztuką, z artystycznym popisem, z cyrkowymi bez mała umiejętnościami największych geniuszy piłki. Z jakością, która wypada poza rzemieślnicze umiejętności. Te jednostkowe błyski są, sugeruje Pilch, solą futbolu. I to nas w widowisku piłkarskim tak magnetyzuje. Kiedy patrzymy na wyczyny tych, o których powiada się nie bez racji, że „zawijają nogą krawaty”, to mamy wówczas naoczne doświadczenie niemożliwości, czegoś, co tak bardzo przypomina fascynację cyrkowymi popisami. Pojawia się uwznioślające uczucie podziwu dla ludzkiej sprawności, podziwu jednocześnie, siedzącą z tyłu głowy, zazdrością wobec tak jawnego przekroczenia przyrodzonego porządku. Kto widział, co przy pomocy kończyn dolnych potrafi z piłką zrobić Ronaldinho, Angel di Maria, Leo Messi, ten osiągnął naoczne doświadczenie niemożliwości. Kto zaś widział, jak w sławnym meczu (ligowym? pucharowym?)¹ argentyński piłkarz Fernando Redondo, odwrócony tyłem do obrońcy, piętą zakłada mu siatkę, po czym, pozostawiając ogłupiałego za sobą, mija go lekko i swobodnie, ten znalazł się piętro wyżej: spotkał się oko w oko z estetycznym absolutem. Po trzykroć tedy rację ma Pilch, kiedy powiada: „Rozstrzygające jest oczywiście pierwotne piękno czterech

z rzędu zagrań z pierwszej piłki zakończonych główką i trzepotem siatki”. To jest punkt dojścia, artystyczny Parnas, estetyczna *akme* widowiska piłkarskiego! Nie medale, nie puchary, nie wyniki (jasne – to też!), ale właśnie trudne do zwerbalizowania, kruche i nieuchwytnie piękno futbolu, rodzące się jako owoc cudownych ewolucji piłkarskich nóg. Warto zwrócić uwagę na to znamienne odwrócenie: to nie tradycyjnie wysławiana r e k a artyści (malarza, pisarza, rzeźbiarza) staje się tutaj narzędziem sztuki, ale jej kulawa bliźniaczka: n o g a – mało zręczna (por. wyrażenie zrobić coś „per noga”), pozbawiona lekkości kończy-na, zazwyczaj traktowana instrumentalnie. Noga mistrza. To ona jest autorką zagrań, które podpadają pod miano artystycznej wirtuozerii. To do niej (rzadziej do głowy) odnosi się, w pełni zasłużenie, wyrażenie: piłkarski kunszt.

4.

W cytowanym wywiadzie Pilch, rozwijając swoją estetyczną teorię piłki, wspomina, nie od rzeczy, o ważnej roli, jaką odgrywa plastyczna oprawa widowiska piłkarskiego: „Równie ważne jest sztuczne oświetlenie – w blasku jupiterów intensywniejsza jest barwa koszulek, piłki, a trawa osiąga intensywność wręcz narkotyczną”. Wątek ten podejmuje i ciekawie uzupełnia kolejny z pisarzy – Salman („Fatwa”) Rushdie. Bo piłka nie tylko porywającymi akcjami i galaktycznymi golami stoi. Mecz piłkarski to angażujący emocje teatr, skroplone w czasie widowisko, multimedialny spektakl.

Rushdie przyjechał z Indii do Londynu w roku 1961 jako trzynastolatek. Sport kojarzył mu się, jak wspomina, jedynie z krykietem czy hokejem na trawie. Ale jak się okazało, *soccer* to miało być to. Przyszły fan Tottenham Hotspurs miał szczęście. Pierwszy mecz, na jaki udał się w towarzystwie ojca, to nie było byle co. Arsenal Londyn podejmował właśnie wielki Real Madryt. Mecz był co prawda towarzyski, ale Real to zawsze jest Real jest Real jest Real. Wspomina Rushdie, że nie miał wówczas pojęcia o wielkości hiszpańskiej drużyny, o jej licznych pucharowych triumfach nie wiedział nic, a nazwiska Ferenc Puskása i Alfredo di Stefano były dla niego pustymi hasłami. Ale, co ciekawe, przypominając ów mecz po czterdziestu latach, Rushdie jest w stanie dokładnie odtworzyć, niemal minuta po minucie, boiskowe zdarzenia: „W pierwszej połowie Real zepchnął Arsenal do obrony. Londyńska drużyna znana była z mocno defensywnego stylu gry: «Przynudzający Arsenal» to etykieta, którą przyklejano mu przez lata – ale Real bez trudu przebił się przez obronę Arsenalu i po pierwszej połowie było już 3:0. Wówczas, zapewne dlatego, że był to mecz towarzyski, Real wymienił swoje gwiazdy na gromadę dzieciaków. Arsenal zaś twardo zostawił pierwszy skład na boisku i gra zakończyła się wynikiem 3:3;

ale nawet najbardziej zagorzali fani Arsenalu nie mogli udawać, że wynik był adekwatny do jakości gry prezentowanej przez obie drużyny”.

Rushdie opowiada dalej zajmująco o swojej edukacji piłkarskiego kibica. O tym, jak z amatorskiej ligi przeszedł na poziom zawodowy. Dla nas jednak bardziej interesujące jest to, co ma do powiedzenia o samym widowisku piłkarskim. Pozostając w estetyzującej wykładni piłki, zwraca Rushdie uwagę na oprawę zawodów, w tym przede wszystkim stadionowy śpiew. Było nie było, jesteśmy na Wyspach! „Piłka nożna jest grą śpiewaną, namiętnie i w pełni śpiewaną. Drużyny mają swoje własne hymny, często, co dość dziwne, amerykańskiego pochodzenia. I tak *Glory, glory, Hallelujah* śpiewają Spurs, *You'll Never Walk Alone* Rodgersa i Hammersteina – fani Liverpoolu; jest też cała kolekcja, by tak rzec, patriotycznych pieśni. (...) Zabrałem kiedyś peruwiańskiego pisarza Mario Vargasa Llosę na White Hart Lane, a on był oszołomiony i zachwycony, kiedy zorientował się, że pieśń kibiców *One team in Europe! There's only one team in Europe* była śpiewana – no, mniej więcej – na melodię *Guantanamo*”.

Oprócz stadionowych pieśni istnieje też, jakkolwiek by to źle brzmiało, muzyka ryku. Rushdie precyzyjnie opisuje odgłosy dochodzące do jego mieszkania ze stadionu Arsenalu, po których bezbłędnie orientował się w tym, co się właśnie działo na boisku. Amplituda była szeroka: od niepohamowanego, trzewiowego, triumfującego wrzasku, który nieuchronnie oznaczał bramkę dla miejscowej drużyny, po tępe buczenie wskazujące, równie nieuchronnie, na gola dla przyjezdnych. Śpiew i ryk to nieodłączne komponenty piłkarskiego meczu (zwłaszcza może w Anglii).

Jupiterzy tedy karmią oko, zaś stadionowy śpiew jest strawą dla ucha. Kiedy więc oko zwiąże się trwale z uchem, a piłkarze dostroją się czasem do tej harmonii zmysłów, wówczas uczucie przemożnego zagarnięcia przez jakąś wyższą, a bliżej nienazwaną rzeczywistość staje się faktem. Zagarnia nas jakaś dziwna, nieokreślona wspólnotowa siła. Stajemy się uczestnikami cielesno-duchowej komunii wyższego rzędu. Tym jest właśnie piłkarski mecz. O to w tej zabawie naprawdę chodzi.

5.

Otóż właśnie: piłka jako zbiorowy rytuał. Czymże bowiem innym jak nie opisem rytualnych spektakli są te wszystkie opowieści zaprzysięgłych fanów futbolu o przeżytych meczach? O czym tu mowa, jak nie o współczesnej formie uczestnictwa w żywej rzeczywistości świeckiego mitu i obrzędu? Nie jest zapewne przypadkiem, że język służący do opisu tego, co w piłce najistotniejsze, tak chętnie naśladuje obok słownictwa wojennego i teatralnego, przede wszystkim retorykę religijną. Kijowski pisał przecież o meczu jako „czarnej mszy ludu” (dlaczego zaraz czarnej? to już prędzej msza

w gombrowiczowskim kościele międzyludzkim!), a stadiony stawały się u niego „świątyniami mas osieroconych przez wiarę w niespodziewaną odmianę losu”. Pokraczna to była, wedle niego, wiara: przelotna, niepełna, zastępcza, namiastkowa, z transcendencją ledwie odbijającą się od ziemi. Namiastkowa wiara w namiastkowej świątyni. Ale jednak: wiara. Pośród teoretyków futbolu są i tacy, którzy nie lekceważą tego komponentu piłkarskiego święta. Przeciwnie: próbują fenomen piłki opisać konsekwentnie w terminologii religijnej.

Amerykański pisarz Raymond Coover w całości zbudował swój tekst o futbolu na odniesieniach do religijnej leksyki, wygrywając na różnych rejestrach znaczeniowych terminologię, stosowaną zwyczajowo do opisu liturgicznej rzeczywistości. Coover nie należał za młodu do nałogowych obserwatorów widowisk sportowych, ale – jak pisze – podczas mistrzostw świata w Meksyku wygranych przez Brazylię (z Pelem w składzie) przeszedł duchową konwersję: „nie ja jeden przyjąłem wiarę tamtego lata”. Takie były początki przejścia do grona piłkarskich wyznawców, przyłączenia do ekskluzywnej denominacji. Już podczas pobytu w Anglii Coover wraz ze swoim synem złożyli przysięgę na wierność londyńskiemu klubowi Queens Park Rangers. Spójrzmy na ich przygotowania do sezonu, bo w ów skrupulatny, niby tylko techniczny zapis, raz po raz wkrada się słownictwo religijne:

„Sprawiliśmy sobie karnety na cały sezon i wpadliśmy w rytm sławetnych sobotnich rytuałów, obejmujących przedmeczowe spekulacje i ogłoszenia składów, przywdziewanie strojów, przejazd autobusem lub metrem pod stadion, kilka eucharystycznych piw w którymś z okolicznych barów, przeglądanie programu imprezy tudzież nabycie jakiegoś liturgicznego bądź ikonicznego rekwizytu w sklepiku klubowym, ceremonialną wymianę pozdrowień z innymi stałymi bywalcami naszej trybuny (...), a potem już tylko sam dziewięćdziesięciminutowy trans (...) i w końcu drogę powrotną przez huczny kocioł przepełniony czymś, co wyglądało czasem na gwałtowne, przemożne wzburzenie bardziej niż na realną gwałtowność przemocy (ciemna strona futbolu), i wreszcie powrót do domu z kompletem najświeższych (...) «oficjalnych wyników» w garści, aby dotrzeć akurat na przedpołudniową herbatę i oddać się kontemplacji nowych sytuacji w tabelach”.

W tym miejscu powstaje esencjonalne pytanie, które od początku tych uwag nad fenomenem piłki trwale zawisa: jaki język opisu najlepiej przylega do zjawiska, o którym tu mowa? Czy użyty przez samozwańczych teoretyków futbolu język (wojna, teatr, sztuka) wydobyla istotne rysy widowiska piłkarskiego, czy też zniekształca jego sens? Czy – jak w tym przypadku – język religijny „nazywa rzecz po imieniu”, czy też dramatycznie błądzi? Posłuchajmy raz jeszcze wypowiedzi Coove-



Mecz Polska – Admira Wiedeń. Warszawa, lata 30.
Narodowe Archiwum Cyfrowe.

ra, w której pojawia się kilka wątków już wcześniej wyróżnionych: „Piłka nożna jest teatralna, artystyczna, wspólnotowa, ceremonialna i misteryjna – a zarazem toczy się w szalonym, zapierającym dech w piersiach tempie (trochę jak koszykówka lub hokej, ale w znacznie większym stopniu bezustannie i o wiele bardziej złożony sposób), toteż wessany w ten beczasowy i nieubłagany trans kibic nie tyle jest obserwatorem, ile uczestnikiem jakiegoś sakramentalnego obrzędu”.

Łatwo, za łatwo, zbyć można powyższe, mówiąc o językowym nadużyciu. Protestować można, że Coover bezceremonialnie miesza święte ze świeckim, a przecież jeśli spojrzymy uczciwie i bez uprzedzeń na mecz przez pryzmat podsunętych nam tu terminów, okażą się one zaskakująco trafne i całkiem na miejscu. Jeśli nawet nie traktować uwag Coovera z przesadną solennością (lekki uśmiech autora i autoironia unoszą się nad całym tekstem) i nie oceniać ich za pomocą twardych miar epistemologii, to i tak konsekwencja z jaką pisze on o widowisku piłkarskim, daje do myślenia. Nie zjawiała się ona w tekście przypadkowo. To nie jest wypadek przy pracy (incydentalne i błuźniercze: „kilka eucharystycznych piw”), który można by zbyć wzruszeniem ramion, ale wyraźnie przemyślana strategia retoryczna. Coover najwyraźniej chce powiedzieć, że nie da się opisać głębokich warstw fenomenu piłki nożnej przy użyciu technicznego żargonu (tautologiczna formuła o futbolu jako sporcie), jak też retoryki społecznej, ekonomicznej, politycznej. Choć futbol bez wątpienia należy do wszystkich wymienionych dziedzin życia, to ma w sobie – sugeruje autor – pewien emocjonalno-duchowy naddatek, którego nie da się zamknąć w językach, które zwyczajowo służą do ich opisanie. Przenosząc leksykę religijną na grunt sportowy, chce chyba przede wszystkim podkreślić wymiar wspólnotowy, komunijny (a można w tym słowie widzieć odwołanie do katolickiego sakramentu, jak i do turnerowskiej *communitas*) piłki nożnej, to, że

mecz piłkarski (nie każdy i nie każdy w tym samym stopniu) jest pełnym napięcia uczestnictwem w rzeczywistości niesprowadzalnej do jakości dających się zaobserwować i skwantyfikować. Jeśli tylko porzucić jałową dosłowność i przenieść pojęcia stosowane przez Coovera na poziom metaforyczny, to okaże się, że wyjątkowo celnie dotykają intensywności samego meczu, jak i wielu sfer blisko z piłką związanych. Zgoda: stadion Wembley nie jest tak naprawdę świątynią Westminster (nie przypomina jej w żaden sposób), ale nazywanie go katedrą mówi coś istotnego o funkcji, jaką pełni. A tak właśnie, mianem „katedry futbolu” określił dawny stadion Wembley nie kto inny niż sam Pelé. Komu jak komu, ale jemu chyba można dać wiarę.

A może w ogóle piłeczka nasza jest nieopisywalna? Może nie istnieje adekwatny dla niej język opisu? Dekret Pilcha w tej materii jest surowy: „Nie da się piłki opisać za pomocą świata albo za pomocą języków wziętych ze świata, bo to rozrzedza temat”. Wynikałoby z tego, że piłka jest rzeczywistością samą w sobie, jakąś niepojętą *Ding an Sich* i że włamać się do jej istotnego rdzenia w żaden sposób się nie da. Albo że adekwatny – w istocie: jedyny! – język opisu meczu znaleźć można w zabytkowym poradniku Rościszewskiego, albo, bliżej naszych czasów, w niezapomnianym podręczniku *Taktyka piłki nożnej*, pióra niezapomnianego dra Jerzego Talagi. Trudno zgodzić się z takim postawieniem sprawy. Nie tylko dlatego, że parę akapitów dalej Pilch uroczo sobie przeczy, dając frapujący i impresywny opis estetycznego wymiaru piłki, ale także dlatego, że opis Coovera nie tylko nie rozrzedza, ale przeciwnie: raczej właśnie z a g e s z c z a temat. Więcej: wydaje się, że dopiero taki język pozwala unieść i nazwać osobliwość piłki nożnej, pozwala też zrozumieć głębokie źródła jej zadziwiającej popularności we współczesnym świecie.

6.

Posłuchajmy jeszcze na koniec niekwestionowanego autorytetu w materii, o której tu cały czas rozprawiamy. W wypowiedzi wybitnego czeskiego pisarza i piłkarza (co za piękna aliteracja!) na temat piłki czytamy: „Kochałem futbol, byłem świetnym piłkarzem, kosztowało mnie to parę złamań. Wzorem był dla mnie Hidegkuti i jego drybling na chustce do nosa. Tak powinna wyglądać gra metafor. *The fascination*”.

Bohumil Hrabal, były piłkarz i gorący fan zespołu Połabianin Nymburk, nigdy nie miał wątpliwości co do prawdziwej esencji futbolu. Swój cykl rozmów z węgierskim dziennikarzem o życiu i literaturze zatytułował z rozmysłem *Drybling Hidegkutiego*. Ów olśniewający, jeśli wierzyć Hrabalowi, drybling węgierskiego piłkarza, filaru węgierskiego *wunderteamu*, stał się poręczną metaforą rozmowy-rzeki: „ten drybling pana Hidegkutiego przewycięża nie tylko semantyczny chaos pytań, ale i moich odpowiedzi (...). I dlatego za-

tytułowałem to interview *Drybling Hidegkutiego*, aby złożyć podziękowanie i hołd panu Hidegkutiemu, który potrafił w taki sposób uniezwykliczyć mecz piłkarski za pomocą technicznych sztuczek z piłką na małym kawałku boiska, że nie tylko rywalom, ale przede wszystkim widzom zapierało dech...”.

I mniej więcej, jak się zdaje, o to właśnie w spektaklu piłkarskim chodzi. Wyjście z piłką z własnej połowy lotem błyskawicy, sekwencja kilku podań gubiących przeciwnika, drybling, który miazdzy łękotki obrońców, ośmieszające siatki, niepozycjonalne loby, akrobatyczne przewrotki, heroiczne obrony strzałów nie do obrony, piłki wkręcane nad murem w samo okienko bramki... A wszystko to oglądane w świątyniach piłki, w misteryjnym uniesieniu, w poczuciu sakramentalnej wspólnoty. Gra metafor. *The fascination*.

Literatura:

Coover Robert, *Piłka nożna jako sakrament egzystencjalny*, tłum. A. Sosnowski, „Literatura na Świecie”, nr 1/2001.

Hrabal Bohumil, *Drybling Hidegkutiego, czyli rozmowy z Hrabalem*, tłum. A. Kaczorowski, Izabelin 2002.

Kijowski Andrzej, *Mecz, czyli czarna msza sceptycznego ludu*, [w:] tegoż, *Kroniki Dedala*, Warszawa 1986.

Pilch Jerzy, *Złota węgierska futbolówka*, „Gazeta Wyborcza”, 11 maja 2001.

Rościszewski Mieczysław, *Gry i zabawy towarzyskie. Wskazówki do przyjemnego i użytecznego spędzenia czasu w domu i po za domem. Podręcznik dla młodzieży płci obojga z wieloma rysunkami w tekście*, Warszawa 1900.

Rushdie Salman, *People's Game*, „The New Yorker”, 31 maja, 1999.

Talaga Jerzy, *Taktyka piłki nożnej*, Warszawa 1997.

Przypis

- ¹ Pamięć ludzka zawodna jest, ale w tak fundamentalnych kwestiach zawsze można liczyć na pomoc fachowców. W skierowanym do autora liście prof. dr hab. Danilo Facca (IFiS PAN) rozwiewa ostatecznie obecną w tekście niepewność: „Święta Wikipedia nieustającej pomocy potwierdza moje podejrzenia, a mianowicie, że był to ćwierćfinał Champions League (2000), w którym Real grał przeciwko Manchesterowi. Przepraszam za pedanterię, ale to są sprawy zasadnicze, to jest historia naszej zachodniej cywilizacji”. Trudno do tej sapiencjalnej wypowiedzi coś dodać, dziękuję.